

Świat Książki

# BORIS AKUNIN

Lewiatan

Fandorin otworzył drzwi i zatrzymał się w progu.  
Renata, nie odwracając się, pokręciła przed nim pupą  
i wdzięcznie wygięła gołe plecy. Już mądre piękności  
osiemnastego stulecia odkryły, że na mężczyzn najbardziej  
działa nie dekolt do pępka, lecz obnażona z tyłu szyja i plecy.

# BORIS AKUNIN

Lewiatan

# BORIS AKUNIN

Lewiatan

z rosyjskiego przełożyła

Małgorzata Buchalik

Tytuł oryginału  
LEWIATAN

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja  
*Mirosław Grabowski*

Korekta  
*Jolanta Spodar*

Copyright © B. Akunin, 1998  
Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp. z o.o., 2003  
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

*Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Hankiewicza 2  
02-103 Warszawa

ISBN 978-83-247-2688-2  
Nr 45113

*Kilka kartek z czarnej teczki  
komisarza Gauche'a*

*PROTOKÓŁ  
wizji lokalnej  
przeprowadzonej wieczorem 15 marca 1878 roku  
w willi lorda Littleby na rue de Grenelle  
(7 dzielnica miasta Paryża)  
(fragment)*

...z niewiadomych przyczyn cała służba przebywała w pokoju kredensowym, usytuowanym na parterze willi, na lewo od hallu (pomieszczenie 3 na rys. 1). Pozycje denatów przedstawia rys. 4, gdzie:

- nr. 1 oznaczono ciało stróża, Étienne'a Delarue, lat 48;
- nr. 2 – ciało gospodyni, Laury Bernard, lat 54;
- nr. 3 – ciało osobistego lokaja lorda, Marcela Prou, lat 28;
- nr. 4 – ciało syna stróża, Luca Delarue, lat 11;
- nr. 5 – ciało pokojówki, Arlette Foch, lat 19;
- nr. 6 – ciało wnuczki gospodyni, Anne-Marie Bernard, lat 6;
- nr. 7 – ciało strażnika, Jeana Lesage, lat 42, który 16 marca 1878 roku zmarł, nie odzyskawszy przytomności, w szpitalu Saint-Lazare;
- nr. 8 – ciało strażnika, Patricka Trois-Bras, lat 29;
- nr. 9 – ciało odźwiernego, Jeana Carpentier, lat 40.

Denaci oznaczeni nr. 1–6 spoczywają w pozycji siedzącej wokół dużego stołu kuchennego, przy czym nr. 1–3 mają głowy

opuszczone na skrzyżowane ramiona, nr 4 złożone pod policzkiem dłonie, nr 5 siedzi lekko odchyłona do tyłu, nr 6 na kolanach nr. 2. Twarze nr. 1–6 są spokojne i nie wyrażają strachu ani cierpienia. Z kolei nr. 7–9 leżą (patrz rys. 4) w pewnej odległości od stołu, a nr 7 trzyma w dłoni gwizdek, jednak nikt z sąsiadów nie słyszał ubiegłej nocy gwizdu. Twarze nr. 8 i 9 zastygły w grymasie przerażenia bądź też wielkiego zdumienia (fotografie zostaną załączone jutro rano). Brak śladów walki. Podczas obdukcji nie stwierdzono obrażeń na ciałach denatów. Przyczynę śmierci może wyjaśnić jedynie sekcja zwłok. Na podstawie stopnia zeszywnienia pośmiertnego lekarz, maître Bernème, ustalił, że zgon poszczególnych ofiar nastąpił w różnym czasie, pomiędzy godziną 10 wieczorem (nr 6) a 6 rano, nr 7 zaś zmarł, jak już wspomniano, później, w szpitalu. Nie czekając na rezultat sekcji zwłok, ośmielię się wyrazić przypuszczenie, że wszystkim ofiarom podano silną truciznę, mającą również działanie nasenne; moment śmierci zależał od dawki trucizny bądź od kondycji fizycznej poszczególnych ofiar.

Drzwi frontowe willi zamknięte, ale nie na klucz. Okno oranżerii (pkt 8, rys. 1) świadczy jednak o tym, że dokonano włamania: szyba stłuczona, pod oknem na wąskim pasie spulchnionej ziemi niewyraźny ślad męskiego buta nr 41, o ostrym nosku, podzelowanego (fotografie wkrótce). Prawdopodobnie przestępca wdarł się do willi od strony ogrodu, już po otruciu i uśpieniu służby – w innym wypadku ta z pewnością usłyszałaby brzęk tłuczonej szyby. Nie wiadomo jednak, dlaczego przestępca, unieszkodliwiwszy służbę, włamał się od ogrodu – mógł bez kłopotu dostać się do willi przez pomieszczenia gospodarcze. W każdym razie z oranżerii skierował się na piętro, do apartamentów lorda Littleby (patrz rys. 2). Jak widać na rysunku, w lewym skrzydle piętra znajdują się jedynie sala mieszcząca rzadkie zbiory starożytności indyjskich i bezpośrednio z nią sąsiadująca sypialnia lorda. Pozycję ciała lorda zaznaczono na rys. 2 nr. 10 (patrz też kontur). Lord Littleby, ubrany w tużurek i sukienne spodnie, prawą stopę miał owiniętą grubą warstwą bandaża. Wstępny ogląd pozwala przypuszczać, że śmierć nastąpiła w wyniku niezwykle silnego ciosu zadanego ciężkim podłużnym przedmiotem w okolice ciemienia. Ofiara

stała twarzą do napastnika. Dywan na kilka metrów wokoło zabрызgany krwią i mózgiem. Ślady krwi również na szklanej gablocie, w której, sądząc z napisu na tabliczce, znajdowała się statuetka hinduskiego boga Śiwy (treść napisu: „Bangalur, druga poł. XVII w., złoto”). Tło zrabowanej statuetki stanowiły malowane indyjskie chusty; jedna z nich również zniknęła.

*Wyjątki z raportu doktora Bernème  
o rezultatach sekcji zwłok  
dostarczonych z rue de Grenelle*

...O ile jednak przyczyna śmierci lorda Littleby (ciało nr 10) jest oczywista i za niezwykłą uznać można tu jedynie siłę ciosu, który rozłupał czaszkę ofiary na siedem części, o tyle przypadki nr. 1–9 okazały się bardziej skomplikowane i wymagały przeprowadzenia nie tylko sekcji, lecz także specjalistycznej analizy toksykologicznej. Zadanie ułatwił w pewnym stopniu fakt, iż J. Lesage (nr 7) żył jeszcze w trakcie pierwszego badania i wykazywał niektóre charakterystyczne objawy (zwążone źrenice, spowolniony oddech, zimna spocona skóra, czerwone wargi i sutki) mogące świadczyć o zatruciu morfiną. Niestety, podczas wstępnej obdukcji na miejscu zbrodni przyjęliśmy za oczywistą wersję o doustnym przyjęciu trucizny; stąd też skupiliśmy się na dokładnym przebadaniu okolic jamy ustnej i gardła ofiar. Ponieważ jednak nie stwierdziliśmy żadnych nieprawidłowości, ekspertyza utknęła na martwym punkcie. Dopiero w toku badań prowadzonych w kostnicy odkryliśmy u każdego z dziewięciu denatów ledwie dostrzegalny ślad iniekcji w zgięciu lewego łokcia. Chociaż wykracza to poza granicę moich kompetencji, pozwolę sobie dość kategorycznie stwierdzić, że wstrzyknięcia nieznanej substancji dokonała osoba mająca duże doświadczenie w tego rodzaju zabiegach. Do powyższego wniosku doprowadziły mnie następujące spostrzeżenia: 1) iniekcji dokonano nadzwyczaj profesjonalnie, u żadnej z ofiar nie stwierdzono krwawych wylewów podskórnych; 2) zazwyczaj delikwent popada w stan upojenia narkotycznego po upływie około trzech minut, a to znaczy, że właśnie w takim czasie dokonano wszystkich dziesięciu iniekcji. Albo

zatem przestępców było kilku (co mało prawdopodobne), albo jeden, za to nadzwyczaj wprawny – nawet jeżeli założymy, że zawnaz przygotował napełnioną strzykawkę dla każdej z ofiar. Trudno doprawdy przypuszczać, że zdrowy na umyśle człowiek pozwoli zrobić sobie zastrzyk, gdy na jego oczach ktoś stracił przytomność w wyniku podobnego zabiegu. Mój asystent, maître Jolie, uważa, że ofiary mogły się znajdować w stanie hipnotycznego transu, jednak w mojej wieloletniej praktyce nie spotkałem się z takim przypadkiem. Zechce pan komisarz zwrócić również uwagę na fakt, że ofiary nr 7–9 leżały na podłodze w pozycjach niedwuznacznie wskazujących na to, że umierały ogarnięte paniką. Jak przypuszczam, właśnie te trzy ofiary otrzymały zastrzyki jako ostatnie (albo okazały się wyjątkowo odporne) i zanim straciły przytomność, zrozumiały, że dzieje się coś podejrzanego. Analiza laboratoryjna wykazała, że każda z ofiar przyjęła dawkę morfiny mniej więcej trzykrotnie wyższą od śmiertelnej. Wnioskując ze stanu ciała dziewczynki (nr 6), która prawdopodobnie zmarła pierwsza, iniekcji dokonano między 9 a 10 wieczorem w dniu 15 marca.

## **DZIESIĘĆ OFIAR ŻŁOTEGO BOŻKA!**

### *Koszmar na zbrodni w prestiżowej dzielnicy*

Dzisiaj, 16 marca, cały Paryż mówi tylko o jednym: o mrożącej krew w żyłach zbrodni, która zburzyła dostojny spokój arystokratycznej rue de Grenelle. Korespondent „Revue Parisien” odwiedził miejsce tragedii i gotów jest zaspokoić uzasadnioną ciekawość naszych czytelników.

*Dzisiejszego ranka listonosz Jacques Le-Chien o siódmej z minutami jak zwykle zadzwonił do drzwi eleganckiej piętrowej willi, należącej do*

*znanego brytyjskiego kolekcjonera, lorda Littleby. Odzwierny Carpentier, zawsze osobiście odbierający pocztę jego ekscelencji, tym razem jednak*

nie otworzył, a kiedy zdumiony pan Le-Chien zauważył, że drzwi są niedomknięte, wszedł do hallu. Minutę później 70-letni weteran usług pocztowych z dzikim wyciem wybiegł na ulicę. Niezwłocznie wezwana policja zastała w willi prawdziwe królestwo Plutona – siedmioro służących i dwoje dzieci (11-letni syn stróża i 6-letnia wnuczka gospodyni) spało snem wiecznym. Policjanci weszli na piętro i znaleźli tam pana domu, lorda Littleby. Tonął w kałuży krwi, zamordowany w skarbcu mieszczącym przesławną kolekcję wschodnich starożytności. 55-letni Anglik był doskonale znany w stołecznych kręgach towarzyskich. Miał opinię ekscentryka i odludka, jednak archeolodzy i uczeni badacze Wschodu uznawali go za prawdziwego znawcę historii Indii. Dyrekcja Luwru niejednokrotnie podejmowała próby odkupienia od lorda poszczególnych eksponatów z jego kolekcji, ten jednak zdecydowanie odmawiał. Zmarły szczególnie cenił sobie złotą statuetkę Śiwy, wycenianą przez ekspertów na co najmniej pół miliona franków. Będąc człowiekiem nieufnym i podejrzliwym, lord Littleby

bardzo bał się złodziei; w skarbcu dzień i noc dyżurowali dwaj uzbrojeni strażnicy.

Nie wiadomo, dlaczego strażnicy opuścili posterunek i zeszli na parter willi. Nie wiadomo, jakim fortem udało się przestępcy, bez użycia siły, podporządkować swojej woli absolutnie wszystkich domowników (policja przypuszcza, że wykorzystał jakąś szybko działającą truciznę). Oczywiście jest natomiast, że nie spodziewał się zastać w domu gospodarza – szatański plan okazał się niedopracowany. Może to właśnie tłumaczy bestialskie okrucieństwo, z jakim zamordowano kolekcjonera. Sprawca zbiegł z miejsca przestępstwa w panice – w każdym razie zabrał jedynie statuetkę oraz jedną z malowanych indyjskich chust, wiszących w tejże co statuetka gablocie. Chustę wykorzystał prawdopodobnie do zawinięcia złotego Śiwy, żeby blask posążka nie zwrócił uwagi jakiegoś zapóźnionego przechodnia. Reszta skarbów (a było ich w kolekcji niemało) pozostała nietknięta. Niżej podpisany korespondent „Revue Parisien” ustalił, że wczorajsza obecność lorda Littleby w willi była czystym a fatalnym przypadkiem.

Lord zamierzał wieczorem wyjechać do wód, jednak złożony niespodziewanym atakiem podagry został w domu – na swoją zgubę.

Bluźnierczy rozmach i cyniczność zbiorowego mordu na rue de Grenelle przechodzą ludzką wyobraźnię. Co za pogarda dla życia! Jakie potworne okrucieństwo! I po co? – żeby zdobyć złoty posążek, którego nawet nie sposób teraz sprzedać! A przetopiony Śiwa zmieni się w zwykłą dwukilogramową sztabę złota. Dwieście gram żółtego kruszcu – oto cena, jaką wyznaczył przestępca za głowę każdej z nieszczęśnych ofiar. O tempora, o mores! – powtórzmy za Ciceronem.

Mamy jednak podstawy przypuszczać, że ta niewyobrażalna zbrodnia nie pozostanie bezkarna.

Jeden z najbardziej doświadczonych detektywów paryskiej prefektury, komisarz Gustaw Gauche, któremu powierzono śledztwo, zdecydowanie oświadczył niżej podpisanemu, że policja dysponuje pewną istotną poszlaką. Komisarz jest całkowicie pewien, że karząca ręka sprawiedliwości rychło dosięgnie sprawcę. Na pytanie, czy mógł nim być któryś ze znanych profesjonalnych włamywaczy, maître Gauche sarkastycznie uśmiechnął się pod siwym wąsem i zagadkowo odpowiedział: „Nie, synku, ten trop prowadzi w wyższe sfery”. I Państwa pokornemu niżej podpisanemu słudze nie udało się już z niego wycisnąć ani jednego słowa.

**J. du Roi**

## OBFITY POŁÓW!

### *Złoty Śiwa odnaleziony! „Zbrodnia stulecia” na rue de Grenelle dziełem rąk szaleńca?*

Wczoraj, 17 marca, między piątą a szóstą po południu 13-letni Pierre B. łowiący ryby przy Pont des Invalides tak nie-szczęśliwie zaczął haczykiem o dno, że musiał wejść do zimnej wody. („Co ja, głupi, żeby zostawiać oryginalny angielski haczyk?” – powiedział młodociany wędkarz naszemu reporterowi). Ofiarność Pierre’a została nagrodzona: haczyk zaczął nie o jakąś banalną belkę, lecz o ciężki, na wpół zakopany w mule przedmiot. Po wyciągnięciu z wody przedmiot ów niezmiernym blaskiem oslepił zdumionego chłopca. Ojciec Pierre’a, sierżant rezerwy i weteran spod Sedanu, domyślił się, że to ni mniej, ni więcej, tylko oślawiony złoty Śiwa, przez którego dwa dni temu zginęło dziesięć osób, i dostarczył znalezisko do prokuratury.

Co się zatem stało? Przestępca, który nie zawahał się z zimną krwią i wyrachowaniem zabić tylu ludzi, z niewiadomych powodów porzucił łup zdobyty takim nakładem

starań! Śledztwo zabrnęło w ślepą uliczkę. Opinia publiczna utrzymuje, że w mordercy poniewczasie obudziło się sumienie, że przeraził się swojego czynu i cisnął złotego bałwana do rzeki. Wielu sądzi nawet, że sam zbrodniarz utopił się gdzieś w pobliżu. Mniej romantyczna policja dopatruje się w niekonsekwentnych działaniach przestępcy znamion choroby umysłowej.

Czy kiedykolwiek poznamy kulisy tej koszmarniej, nieopiętej historii?

## ALBUM PARYSKICH PIĘKNOŚCI

**Seria 20 fotografii do nabycia za zaliczeniem pocztowym w cenie 3 F 99 c, z kosztami wysyłki włącznie. Wyjątkowa okazja! Pospieszcie się – nakład ograniczony. Paryż, rue Coypel, drukarnia „Patou i syn”.**

## Część pierwsza

---

PORT SAID – ADEN

*Komisarz Gauche*

W Port Saidzie na pokład „Lewiatana” wszedł nowy pasażer; zajął kajutę numer osiemnaście, ostatnią wolną w pierwszej klasie, i komisarzowi Gauche’owi z miejsca poprawił się humor. Pasażer wyglądał nader obiecująco: opanowane, niespieszne ruchy, nieprzenikniony wyraz pięknej twarzy, na pierwszy rzut oka całkiem młodej; kiedy jednak zdjął melonik, nieoczekiwanie ukazały się posiwiałe skronie. Interesujący typ, osądził komisarz. Od razu widać, że z charakterem i, by tak rzec, z przeszłością. Krótko mówiąc, w sam raz dla ojczulka Gauche’a.

Pasażer szedł po trapie, wymachując podróznym pledem, a spoceni tragarze taszczyli imponujący bagaż: drogie skrzypiące walizy, eleganckie sakwojaże ze świńskiej skóry, wielkie paczki książek i nawet składany welocyped (jedno koło duże, dwa małe i pęk błyszczących metalowych trąbek). Procesję zamykało dwu nieszczeńników wlokących budzącą respekt sztanę gimnastyczną.

Serce Gauche’a, starego posokowca (komisarz lubił przedstawiać się w ten sposób), żywiej zabiło w przecuciu emocjonującego polowania: nowy nie miał przy sobie złotego znaczka – ani na jedwabnej klapie szykownego letniego płaszcza, ani na marynarce, ani na łańcuszku zegarka. Ciepło, coraz cieplej – myślał Gauche, uważnie śledząc eleganta spod krzaczastych brwi i pykając ukochaną glinianą fajeczkę. Ano właśnie – dlaczego

niby był taki pewien, że łajdak wsiądzie na statek akurat w Southampton? Morderstwa dokonano 15 marca, a dzisiaj jest już 1 kwietnia. Czasu na dotarcie do Port Saidu było dosyć, kiedy „Lewiatan” opływał zachodni brzeg Europy. No i proszę: klient jak malowanie, plus bilet pierwszej klasy, plus – co najważniejsze – bez złotego wieloryba.

Przekłęty znaczek z inicjałami nazwy kompanii morskiej „Jasper-Artaud Partnership” od jakiegoś czasu śnił się Gauche’owi po nocach, przy czym w wyjątkowo obrzydliwej scenografii. Na przykład wczoraj.

Komisarz pływał z madame Gauche łódką w Lasku Bulońskim. Świeciło słoneczko, śpiewały ptaszki. Nagle zza wierzchołków drzew wychynęła wielka złocista morda z tępyimi ogromnymi oczami, otworzyła pysk, w którym zmieściłby się Łuk Triumfalny, i zaczęła wsysać staw. Złany potem Gauche rzucił się do wiosł. Tymczasem okazało się, że są nie w żadnym parku, ale pośrodku bezbrzeżnego oceanu. Wiosła gięły się jak słomki, madame Gauche boleśnie kłuła parasolką w plecy, a wielka świetlista chmura przesłoniła cały horyzont. Kiedy wypłuła fontannę na pół nieba, komisarz obudził się i roztrzęsioną ręką obmacał stolik nocny: gdzie fajka i zapałki?

Złotego wieloryba po raz pierwszy zobaczył na rue de Grenelle, kiedy badał doczesne szczątki lorda Littleby. Anglik leżał z ustami otwartymi w niemyim krzyku; sztuczna szczęka na wpół wysunięta, nad czołem krwawy suflet. Gauche przykucnął: między palcami denata błyszczała złota iskierka; przyjrzał się jej bliżej i ryknął z radości. Tym razem miał fart – taki fart, jaki zdarza się tylko w powieściach detektywistycznych. Nieboszczyk – niech mu ziemia lekką będzie – podał komisarzowi dowód rzeczowy, i to wcale nie na srebrnej tacy, lecz po prostu na dłoni. Bierz, Gustawie, śmiało. I spróbuj teraz stracić z oczu typa, który roztrzaskał mi łeb, a spalisz się ze wstydu, stary durniu.

Złoty znaczek (początkowo Gauche nie wiedział jeszcze, co to za znaczek, myślał, że breloczek albo szpilka do krawata z monogramem właściciela) mógł należeć tylko do mordercy. Na wszelki wypadek komisarz pokazał, oczywiście, wieloryba młodszemu lokajowi (w czepku urodzony chłopak: 15 marca

miał akurat wychodne, co uratowało mu życie), lecz ten nigdy wcześniej nie widział świecidełka. I chwala Bogu.

Potem poszły w ruch koła zamachowe i zębate policyjnej maszyny – minister i prefekt rzucili do akcji „Zbrodnia Stulecia” swoich najlepszych ludzi. Już pod wieczór następnego dnia Gauche wiedział, że trzy litery na złotym wielorybie to nie monogram jakiegoś tonącego w długach utracjusza, tylko inicjały świeżo zawiązanego francusko-brytyjskiego konsorcjum okrętowego. Wieloryb natomiast okazał się emblematem statku „Lewiatan”, zwodowanego niedawno w dokach Bristolu i szykującego się do wypłynięcia w swój pierwszy rejs do Indii.

O wielkim statku gazety trąbiły nie pierwszy już miesiąc. Teraz okazało się, że w przededniu pierwszego rejsu „Lewiatana” Mennica Londyńska wybiła złote i srebrne znaczki pamiątkowe: złote dla pasażerów pierwszej klasy i starszych oficerów, srebrne dla pasażerów drugiej klasy i oficerów technicznych. Trzeciej klasy na luksusowym statku, łączącym najnowsze osiągnięcia myśli technicznej z niebywałym komfortem, nie przewidziano w ogóle. Kompania gwarantowała podróżnym kompleksową obsługę, nie było więc konieczności zabierania w rejs służby. „Gotowi na każde skinienie lokaje i taktowne pokojówki naszej kompanii zadbają, żebyście czuli się Państwo na pokładzie „Lewiatana” jak w domu!” – głosiła reklama drukowana w gazetach całej Europy. Szczęśliwcom, którzy zarezerwowali kajutę na pierwszy rejs Southampton–Kalkuta, wręczano wraz z biletem złotego lub srebrnego wieloryba, w zależności od klasy. A rezerwacji można było dokonać w każdym dużym europejskim porcie, od Londynu po Konstantynopol.

Cóż, znaczek „Lewiatana” to wprawdzie mniej niż inicjały właściciela tegoż znaczka, ale w sumie sprawa nie komplikuje się znów tak bardzo, pomyślał komisarz. Wybito ściśle określoną liczbę złotych znaczków. Wystarczy poczekać do 19 marca – właśnie tego dnia statek uroczyście odbijał od brzegu – przyjeżdżać do Southampton, wejść na pokład i popatrzeć, kto z pasażerów pierwszej klasy nie ma złotego wieloryba. Albo (co bardziej prawdopodobne) kto z ludzi, którzy za takie pieniądze kupili bilet, zrezygnuje z rejsu. I stanie się klientem ojczulka Gauche’a. Proste jak drut.

Gauche serdecznie nie znosił podróży, ale tym razem nie wytrzymał. Wykrycie sprawcy „zbrodni stulecia” wymagało jego osobistego udziału. Może w końcu dosłuży się awansu. Do emerytury już tylko trzy lata. A emerytura emeryturze nierówna. Półtora tysiąca franków dodatku funkcyjnego nie leży na ulicy.

W każdym razie sam się wkopał. Wycieczka do Southampton, w najgorszym razie rejs do Hawru, do pierwszego postoju, a tam już żandarmi na nabrzeżu, reporterzy... Tytuł w „Revue Parisien”: „Śledztwo w sprawie «zbrodni stulecia» zakończone. Sukces naszej policji”. Albo jeszcze lepiej: „Stary posokowiec Gauche nie zawiódł”.

Akurat! Pierwsza nieprzyjemna niespodzianka czekała komisarza już w biurze kompanii w Southampton. Okazało się, że na cholernym okręcie jest równo sto kajut pierwszej klasy plus dziesięciu starszych oficerów. Wszystkie bilety zostały sprzedane. Sto trzydzieści dwie sztuki. I do każdego dołączono złoty znaczek. Czyli stu czterdziestu dwóch podejrzanych, nieźle, co? Ale przecież wieloryba nie będzie miał tylko jeden z nich – pocieszał się Gauche.

Rankiem 19 marca sieczony wilgotnym wiatrem, zakutany w ciepły szal komisarz stał przy trapie obok kapitana, mister Josiaha Cliffa, i pierwszego oficera, pana Charles’a Régnier. Witali pasażerów. Orkiestra dęta grała marsze na przemian angielskie i francuskie, na brzegu szumiał rozemocjonowany tłum, a Gauche coraz wścieklej pykał i gryzł Bogu ducha winną fajkę. Niestety, z powodu paskudnej pogody wszyscy pasażerowie byli w płaszczach, paltotach, trenczach i pelerynach. Bądź tu mądry i zgadnij, kto z nich ma znaczek, a kto nie. To była niespodzianka numer dwa.

Wszyscy, którzy powinni byli wejść na pokład w Southampton, weszli, co oznaczało, że mimo utraty znaczka morderca zdecydował się jednak na rejs. Widać uważa policjantów za skończonych idiotów. Albo ma nadzieję zgubić się w takim tłumie. Albo nie ma innego wyjścia.

Jedno było jasne: przyjdzie płynąć do Hawru. Gauche’a umieszczono w kajucie rezerwowej, przeznaczonej dla specjalnych gości kompanii.